

Akweny Eldorado

Autor: Jacek Jóźwiak

Artykuł o polskim kłusownictwie. Jest tak różne, jak różni są Polacy. Jednocześnie jest na nie społeczne przyzwolenie i nie znam kraju - choć znam na przykład realia zza naszej wschodniej granicy - gdzie kłusowano by tak powszechnie, tak bezmyślnie i tak obrzydliwie jak w Rzeczypospolitej.

Ryba zawsze skrzy się drogocennym kruszcem. Niektóra srebrem markowym, jak boleń czy płoć, niektóra stopem szlachetnych metali - jak leszcz z jeziorowego stoku, inna złotem skrzy się - jak karp, lin czy karaś...

Jeszcze inna sama jest wyrobem jubilerskim, ot, wzdręga, okoń czy sandacz z żyznego zbiornika. Albo węgorz, który zwinawszy się na piachu piękniejszy jest od skarbu Tutanchamona. Czy pstrąg, troć, łosoś - toż to szlachecki przepych, który nakazywał metal zdobić drogocennymi kamieniami.

Ale ryba to nie tylko symbol srebra i złota, nie tylko metafora estetów. To żywy szmal, gotówka. Dużo pieniędzy. Dla małego krętacza i dla mafijnego bossa. Dla kłusownika, który w piwnicy odlewa kilka kotwic do szarpania, dla właściciela żaka, drygawicy, sznura zastawnego. I dla posiadacza kilku łodzi z silnikiem Johnsona, furgonetki z nowoczesną chłodnicą i przemysłowej wędzarni oficjalnie zarejestrowanej i dającej państwu pieniądze.

Więc ryba skrzy się i szeleści. Wiedzą o tym licencjonowani rybacy, oficjalni dzierżawcy skarbowych wód. I dobrze wiedzą kłusownicy. Różnego formatu.

Drobnica

Są jak kieszonkowi złodzieje. Nastawieni na niewielki zysk. Ich narzędziem jest szarpak, niewielka podrywka (taka 3 na 3 m), sznur z kilkudziesięcioma hakami, krótka drygawica lub żak bez naganiających płotów. To fachowcy, znawcy rzek i jezior, tarlisk i szlaków tarlanych, zimowisk, dołów sumowych. To ludzie, którzy rybie zwyczaję i rybi kalendarz lepiej znają od większości wędkarzy i niejednego ichtiologa.

- Szajbusy, wariaci, nawiedzeni - mówią o nich zawodowi rybacy strażnicy z Ostrołęki.
- Chorzy, uzależnieni, ogarnięci jakąś obsesją - słyszy się w stołecznym komisariacie rzeczonym.
- Nałogowcy - podsumowują ich na Mazurach.

Chwytni na gorącym uczynku, po raz pierwszy, drugi, dziesiąty, karani przez kolegów, tracący sprzęt, dobre imię - wracają nad wodę natychmiast. Zarabiają na spłatę grzywny szarpiąc, stawiając sieci, mordując ryby prądem z linii przesyłowych. I te ryby, nienawiść do ludzi chroniących wody, stają się sensem ich życia. To ich trzeba skuwać przed posadzeniem w łodzi, to tacy gotowi są sięgnąć obręczą kasarka pod napięciem w gołe ciało strażnika czy policjanta lub wbić osękę pod kolano, w nerkę, płuco.

Pod koniec sezonu żeglugowego szaleją gliniarze wodni z Warszawy. We wrześniu Wisła przestaje być akwenem eldorado. Z wody, z lądu, samochodami, łodziami, pieszo, z odbezpieczoną bronią i z psami...

Z główek, z zatok, z kłusowniczych ujażdżek znikają amatorzy. Na żoliborski burzowiec przestają przychodzić gromady nastolatków z szarpakami, podrywki i drygi z Burakowa, Kiełpina, Łomnej, Czosnowa wędrują na kilka tygodni do komórek. Wiele z nich znajduje się w kanciapie pod schodami komisariatu.

- To cieszy, kiedy są efekty - opowiada jeden z policyjnych wodniaków. - Nie tylko nas i naszych przełożonych. Radują się ludzie nad wodą, szczególnie wędkarze. Dziękują nam, chwalą. Nieraz bardzo wylewnie, serdecznie. Te podziękowania dodają sił i odwagi. A odwagi nam potrzeba. Nikomu nie życzę spoglądania w oczy kłusownika po raz trzeci złapanego na gorącym.

- Boimy się, wychodząc z łodzi na interwencję. Tracimy kontakt radiowy z "fabryką". Radiotelefony możemy sobie obejrzeć na Polsacie, wiszą u pasa amerykańskich gliniarzy z seriali. Różne "bewerlyhilsy" szczękają zamkami śrutówek remingtona, a my na brzeg wyłazimy z bronią typu wojskowego. Użyjesz,

masz trupa. Urwie nogę, wypatroszy, wyrwie płuco...

- Oni wiedzą, że my boimy się trzymać broń w ręku.

- Bogu dzięki, oni też się boją. Szczęk zamka tokariewa jest przekonujący, choć nic nie może się równać z odgłosem repetowania policyjnej strzelby.

- Kiedy młodemu policjantowi zaczęły się trząść ręce, zaciśnięte na kolbie pistoletu - wspomina jeden z dwukrotnie ujętych szarpakowców - przestałem pyskować. Pomyślałem, że jeśli on przestraszy się jeszcze bardziej, to mnie zastrzeli.

- Mam ochotę wygarnąć, czasami mam ochotę strzelić - przyznają poza protokołem. - Widzę go po raz trzeci, piąty no i mam ochotę... Grzywna? Jaka grzywna, co to jest ta grzywna? To dzień szarpania, jedno zręczne zastawienie sieci.

Wsie nad rzeką

Nad Narwią i Bugiem takich wsi są dziesiątki. Niemal w każdym gospodarstwie poukrywane w sąsiedkach leżą drygawice, kłomle, więcierze. To wsie i ludzie od pokoleń wpatrzeni w rzekę. Kłusowali pradziadowie, ojce. I oni kłusują. Starzy wspominają, że inne było kłusowanie za sanacji - nadzorca wodny ani się wahał sięgnąć po gwintówkę i nafaszerować grzbiet gryzawkową solą czy nawet kaczym śrutem. Ani się namyślał, by wezwać granatowych, zrewidować obejście od strzechy po przycieś. A z sądem przed wojną to była krótka rozmowa - nadzorca zeznał, policjant potwierdził, sieć znalezioną rzucili na trybunalski stół i obwiniony już słyszał szczęk zamka w powiatowej kozie. Drugi raz zdybali i za kłusownikiem zamykała się brama okręgowego kryminału. Tak i z siatką wychodziło się czarną nocą, czarną nocą wybierało, czarną nocą chodziło do Żyda, by mu rybę sprzedać.

A dziś? Ot, Kuligów, Ślężany, Dręszew, Kamieńczyk, Barciany nad Bugiem. W biały dzień na nurcie korki drygawic skaczą, w biały dzień chłop do "siły" się podłącza i prądem głuszy ryby. A na płocie wiesza szyld ręcznie malowany: "TU ryba świeża!"

Kiedy z wiosny sandacz na tarliska wchodzi, kiedy węgorz wybiera się w najdłuższą podróż, a leszcz i płóc z dopływów schodzi, to na wodzie sieć przy sieci. Strażnicy rybacy, policjanci, aktywni członkowie PZW, którzy tworzą przeciwkłusownicze patrole, wspominają:

- Na wale cała wieś. My na wodzie zbieramy sieci, a ona z brzegu śle na nas przekleństwa, w które i diabeł, i Bóg są zamieszani. Lecą w naszą stronę kamienie, a my już tych siatek na pokład nie ładujemy, nie mieszczą się na poprzednich. Więc rżniemy te siaty nożami, na strzępy, na kawałki. I odpływamy. Wracamy nazajutrz. I znów wśród przekleństw zabieramy się do roboty. Siatek trochę mniej. Po kilku dniach jeszcze mniej, po następnych dwie, trzy. To chłopci, więc liczyć potrafią. Zysk z ryby strat w sprzęcie nie pokryje. Na wodzie zostają nałogowcy. Ale ile takich akcji przeprowadzić można?

- Przed wojną to było prawo na wodzie i moc do tego prawa - wspomina sędziwy Antoni Kotlik z Wyszkowa. Był do 1939 nadzorcą wodnym, tyczył farwater, wiechy stawiał i ryby w rzece pilnował.

- Na ten przykład przychodził do mnie ekonom z Niegowa i mówił: Antoni, u Mirgów spod Młynarzy za tydzień wesele będzie. To ja szedł na posterunek w Ostrowii, przydzielali mnie posterunkowego z przodownikami i za parę dni stawał Mirga przed grodzkim sędzią. Sędzia był mądry człowiek, wesele kazał wyprawić, noc poślubną z babą spędzić i na drugi dzień do aresztu się zgłosić na trzy miesiące. Parę takich wyroków i ryba na wesele kupowana była u rybaka odcinkowego. Bo prawo zawczasu myślało, a sprawiedliwość moc miała.

- A dziś małych spraw prawo nie pilnuje, wielkim nie poradzi...

Szmal na tarło ciągnie

Wielki szmal. Kiedy w troci zagrają hormony, nic się nie liczy. Tylko droga. W górę pomorskich rzek. Jaz, śluza, przepławka - to dla ryby oszalałej od prokreacyjnej żądzy żadne przeszkody. Rzeczki, strumienie, kanały melioracyjne lśnią żywym srebrem. To czas narodzin i śmierci - pękają od ikry brzuchy samic, samce leją mleczem, a na brzegach wioski całe z sieciami, ościeniami, widłami, szarpakami. Na drzewach i wieżach triangulacyjnych wyrostki na czatach. Niczym w partyzantce. I nie palce włożone do gęby zaalarmują kłusowników, nie gwizd przeraźliwy, lecz kupione na targowisku walkie-talkie japońskiej

produkcji albo po prostu komóry.

Mechanizacja, elektronika, pomysłowość godna Nobla - zanim ziemia stwardnieje od mrozu, co przemysłniejsi prowadzą na brzeg izolowane przewody, ukrywają gniazdka w popróżnionych pniakach, wśród kamieni. I czekają - na ten dzień, w którym zasrebrzy się rzeka. Wystarczy przyjść z długim kasarkiem z mosiężną obręczą, włożyć wtyczkę do kontaktu...

Pomorscy strażnicy, spinningiści i mucharze potrafią się popłakać, kiedy uda im się schwycić kłusownika. W workach, skrzyniach, bagażnikach samochodów znajdują czasem sto, czasem dwieście dorodnych ryb...

Po kłusowniczych wioskach jeżdżą samochody z trójmiejską, szczecińską, poznańską, stołeczną, a nawet katowicką rejestracją i skupują łup kłusowników. Trocie trafiają potem do dużych chłodni, wędzone są partiami w ciągu kilku miesięcy. Większość z nich dostaje fałszywe faktury i trafia do dobrych knajp, do Niemiec, Holandii...

Grube ryby

Grube ryby nie boją się niczego. No, może bessy na giełdzie i nieprzekupnych urzędników fiskusa. Ale grube ryby znają prawo lepiej od ustawodawcy. Zatrudniają na etatach najbardziej wziętych prawników. Zazwyczaj dzierżawią od Agencji Rolnej Skarbu Państwa jakieś jezioro. I w nim piorą skłusowane węgorze, sieje, sielawy. I te trocie z tarlanych ciągów. Uśmiechają się miło do odwiedzających ich dziennikarzy i szczerze z nimi rozmawiają. Ale ochroniarze starannie sprawdzają reporterskie torby i kieszenie, oglądają długopisy... Elektronika jest świetnie rozwinięta, grube ryby nie lubią magnetofonów, fotoaparatów, boją się nadajników. Ale kiedy są pewni siebie, potrafią się spojrzeć znacząco, ironicznie uśmiechnąć i opowiedzieć, że z 70-hektarowego stawu wybierają kilkadziesiąt ton węgorza rocznie, że w zamulonym, płytkim jeziorku latoś obrodziło sielawą i sandaczem.

O grubych rybach opowiadają przy wódce mazurscy policjanci i prokuratorzy. Z żalem i nieoficjalnie. O łodziach z dwustukonnymi silnikami, o echosondach i radarach, o radiotelefonach Ericksona i terenowych samochodach Mitsubishi będących w dyspozycji grubych ryb. O wontonach, włókach, niewodach, agregatach, przy których zawodowy sprzęt rybacki jawi się jak ostatnie badziewie...

A potem się upijają ze smutku, ze złości, z bezradności. Płaczą albo odgrażają się i klną w żywy kamień. A kiedy wytrzeźwieją, łapią nad jeziorami mizerne płotki - gościa, który zbiera węgorzowe pupy, amatora okoni z oblanką, faceta wyciągającego niewielki żak... W poczuciu bezradności zatrząskują drzwiami do swoich maluchów, polonezów czy "cienko-cienko" i memłają w ustach przekleństwa, kiedy mijają BMW syna grubej ryby...

- A czy pan wie - powiedzą dziennikarzowi - że w Komendzie Głównej jest jeden facet, który zajmuje się stykiem wody z lądem. Jeden jedyny...